



Louis-Henri Boussenard

SEKRETY PANA SYNTEZY

Tom drugi



67

ISBN 978-83-68739-05-3 (całość)

ISBN 978-83-68739-07-7 Tom drugi

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Louis-Henri Boussenard

Sekrety pana Syntezy



Louis-Henri Boussenard urodził się w Escrennes 4 października 1847 roku, a zmarł w Orleanie 11 września 1910 roku.

Był autorem powieści przygodowych, a także, podążając śladem Juliusza Verne'a, kilku fantastycznonaukowych. Za życia nadano mu przydomek francuskiego Ridera Haggarda, niezwykle poczytnego w tym czasie angielskiego autora powieści przygodowych. Obecnie jest bardziej znany w Europie Wschodniej niż w krajach frankofońskich (np. w Rosji wydano czterdzieści tomów jego utworów).

Po studiach medycznych poświęcił się pisaniu. Bardzo dużo podróżował po francuskich koloniach, zwłaszcza w Afryce. W tym czasie rząd francuski powierzył mu misję naukową w Gujanie. Podczas wojny francusko-pruskiej w 1870 roku szybko został ranny i tym przykrym doświadczeniem można tłumaczyć mocno nacjonalistyczne poglądy, którym dał wyraz w kilku swoich powieściach. Miał także negatywny stosunek do Anglików i Amerykanów, co wyjaśnia, dlaczego tak mało jego utworów przełożono na język angielski.

Jego opowiadania i powieści ukazywały się w licznych czasopismach, takich jak „Le Figaro”, „Le Petit Prisien”, czy „Journal des voyages”.

Bohaterowie jego powieści podróżują po całym świecie, są wystawiani na wszelkie niebezpieczeństwa, ale zawsze triumfuje dobro, a źli ludzie zostają ukarani.

Boussenard napisał bardzo dużo powieści, z których większość można ująć w cykle. Do najbardziej znanych należą: „Saga Friqueta (Wróbelka)” o przygodach paryskiego urwisa, cykl liczący 20 tomów (w Polsce ukazały się dwa pierwsze tomy: *W niewoli u ludożerców* i *Korsarze mórz południowych*); „Robinsonowie z Gujany”, liczący 9 tomów (w Polsce *Galernicy Gujany*, obejmujący dwa pierwsze tomy); „Bez Grosza”, liczący 5 tomów (w Polsce *Dusiele w Bengalu*, drugi tom cyklu); „Lodowe piekło”, zawierający 6 tomów (w Polsce: *Piekło wśród lodów* i *Kapitan Łamigłowa*); „Tajemnice Pana Syntezy”, liczący 4 tomy (w Polsce dwa tomy: *Tajemnica doktora Syntese* i *Niezwykła podróż doktora Syntese*), czy wreszcie cykl „Niebezpieczne Przygody Trzech Francuzów w Krainie Diamentów”, składający się z 3 tomów.

Louis-Henri Boussenard



SEKRETY PANA SYNTEZY

Tom drugi

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Sto siedemdziesiąta piąta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Sześćdziesiąty szósty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego:
Les secrets de Monsieur Synthèse

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2026

37 ilustracji, w tym 8 kolorowych: Charles Clérice

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak
Redakcja i korekta: Maria Sarnowska
Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2026

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-68739-05-3 (całość)
ISBN 978-83-68739-07-7 (tom drugi)

Część druga (ciąg dalszy)

Rozbitkowie z Malakki

Rozdział VI

Heroiczne środki przeciwpożarowe – Co oznacza *zatopienie* statku – Przegrody i komory wodoszczelne – Częściowe zalanie – Torpeda – Łódź-torpedowiec – Eksplozja – Pożar ugaszony, ale jakim kosztem! – „Wolałbym wszystko wysadzić w powietrze!” – Powrót do Singapuru – Dlaczego ten powrót denerwuje dziewczynę – Konieczność nie zna prawa – Odwaga i naiwność – Trzeba będzie kupić inny statek – Ptaki i kwiaty – Wiatr się wzmaga – Nagła cisza – Niekorzystne prognozy – Po pożarze, huragan

Dróba ścigania „Indusa”, który zniknął w ciemnościach, byłaby szaleństwem.

Dopóki kapitan Christian wierzył w możliwość dogonienia statku i zabrania wszystkich na pokład, nie przejmował się zbyt „Godaveri”. Naprawa uszkodzonej maszyny, a nawet gaszenie pożaru były dla niego mniej pilne niż pomoc za wszelką cenę swojemu towarzyszowi.

Ale teraz, gdy sam znalazł się zdany wyłącznie na własne siły, bez nadziei i możliwości uzyskania pomocy z zewnątrz, musiał podjąć najpilniejsze działania, aby uniknąć śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Pożar, podsycany przez szybkość poruszania się, rozprzestrzenił się w straszliwym tempie, a zwykłe środki stosowane do jego opamowania okazały się bezsilne. Na próżno zatkało wszystkie otwory; na próżno pompy i maszyna wyrzucały strumienie wody i pary; na próżno też ludzie wyposażeni w przenośne gaśnice, ryzykując życie, próbowali przedostać się do głównego ogniska pożaru.

Plomienie ryczały pod pokładami, z których wydobywały się gęste kłęby duszącego dymu, pomimo zamknięcia luków, zakratowanych okien i iluminatorów. Przegrzane blachy poszycia trzeszczały na poziomie linii wodnej.

Pierwszy oficer, który na wyraźny rozkaz kapitana wracał wraz ze swoimi ludźmi, pojawił się, zataczając, na wpół uduszony, z przypalonymi brwiami i brodą. Odciągnął swojego szefa na bok i w zafaniu poinformował go, że przednia część ładowni, w której doszło do eksplozji, stała się całkowicie niedostępna i że bez podjęcia zdecydowanych, a raczej heroicznych działań statek jest stracony.

Kapitan miał zaufanie do swojego podwładnego i nie bez powodu. Aby wyraził taką opinię, sytuacja musiała być niemal beznadziejna.

– Mówi pan, oficerze, że potrzebne jest heroiczne rozwiązanie, prawda? Cóż, znalazłem takie rozwiązanie i to pan je zastosuje.

– Dziękuję, dowódco. Może pan na mnie liczyć.

– Nie miałem czasu rano sprawdzić grodzi wodoszczelnych.

– Są w idealnym stanie.

– Zasuwy są opuszczone, prawda?

– To pierwsza czynność, którą nakazałem wykonać zaraz po wybuchu.

– Czy jest pan pewny, że pożar jest zlokalizowany za przegrodą kolizyjną?

– Na razie tak, dowódco.

– Cóż, mój przyjacielu, naszym jedynym ratunkiem jest zatopienie statku.

– Zatopienie statku...!

– Za pomocą torpedy, którą bezzwłocznie wystrzelisz – odpowiedział spokojnie kapitan Christian, jakby wydawał najprostsze polecenie na świecie.

– Na rozkaz, kapitanie!

– Wiesz, co masz robić. Powiadom mnie, kiedy wszystko będzie gotowe.

– Dziękuję! Za cztery lub pięć minut będę gotowy.

Operacja, do której ostatecznie uciekał się dowódca „Godaveri”, choć pozornie beznadziejna, była jedyną, która mogła uratować *steamer*.

Zatopienie statku oznacza wykonanie w jego kadłubie, poniżej linii wodnej, dużego otworu, przez który do wnętrza statku wlewa się potężny strumień wody. Dzięki specjalnej konstrukcji nowoczesnych statków manewr ten, którego celem jest zastąpienie pożaru

całkowitym zatopieniem, można wykonać bez większych niedogodności. Ta prosta, ale genialna konstrukcja polega na obecności *wodoszczelnych przegród*.

Ścianki wodoszczelne mają na celu podzielenie żelaznego statku na pewną liczbę przedziałów, tak aby woda, która dostała się do jednego z tych przedziałów, nie mogła zalać całego statku w przypadku przebicia kadłuba. Są one zawsze wykonane z blachy, umieszczone poprzecznie od stępki do pokładu i przynitowane do poszycia na całym obwodzie. Ponadto są one wyposażone w rozmieszczone w określonych odstępach pionowe kątowniki, które sprawiają, że są one w stanie wytrzymać nacisk wody, gdy przedział, który ograniczają, zostanie wypełniony. Jeśli chodzi o te przedziały, ich objętość musi być taka, aby w przypadku wypełnienia jednego z nich wodą statek pozostał na powierzchni dzięki pozostałym przedziałom.

Każdy parowiec posiada co najmniej cztery wodoszczelne przegrody tworzące pięć przedziałów. Jedna z nich, znajdująca się na samym dziobie, nazywana przegrodą zderzeniową, dwie obejmujące miejsce, w którym znajdują się maszyny, oraz jedna z tyłu, w której znajduje się dławik wału śruby. Jest to oczywiście minimum, ponieważ duże statki pasażerskie mają nawet osiem przegród, które je dzielą na dziewięć przedziałów¹.

Przegrody te wyposażone są w zawory, które można obsługiwać z pokładu. Zwykle są one otwarte, aby umożliwić odpływ wody z różnych części ładowni do wspólnego zbiornika, skąd jest ona odprowadzana przez pompę maszyny. W przypadku pojawienia się przecieku w jednym z przedziałów, lokalizuje się go, natychmiast zamykając dwa odpowiednie zawory.

Oczywiste jest, że w takim przypadku statek, obciążony ogromną ilością wody, zanurza się o wartość równą masie dodatkowego płynu. Jeśli jednak zawory działają prawidłowo, a przegrody są całkowicie szczelne, statek nadal płynie i dzięki częściowemu zanurzeniu unika całkowitego zatonięcia. Można to nazwać *robieniem miejsca dla wody*.

¹ Wspaniałe statki, które firma Transatlantique ostatnio przeznaczyła na linię z Hawru do Nowego Jorku: „Champagne”, „Gascogne”, „Bourgogne” i „Bretagne”, mają po trzynaście przedziałów [przypis autora].

Ponieważ pompy na statku „Godaveri” były bezsilne w powstrzymaniu postępu pożaru; ponieważ niemożliwe było wprowadzenie wody do tych tysięcy zakamarków, gdzie szalały i wiły się płomienie; ponieważ magazyn żagli i lin został dotknięty pożarem, a ogień zbliżał się do międzypokładu i mógł rozprzestrzenić się na zapasy węgla, łatwo zrozumieć, dlaczego kapitan Christian postanowił zatopić cały przedział.

Byłoby bardzo trudne, żeby nie powiedzieć niemożliwe, natychmiastowe wykonanie wystarczającego otworu w burcie statku, gdyby nie to, że ten na szczęście był wyposażony w różnego rodzaju materiały wybuchowe. W związku z tym posiadał kilka torped, zabranych niegdyś przez pana Syntezę, aby wysadzić skały koralowe, które mogłyby utrudniać instalację aparatury, a nawet przeszkadzać w żegludze statków płynących do atolu.

Gdy tylko pierwszy oficer udał się do magazynu prochu, kapitan kazał spuścić na morze dużą łódź. Łódź ta była wyposażona z przodu w pierścień linowy, przez który oficer nakazał przełożyć około dziesięciometrowy drzewiec, oparty jednym końcem na ławce, a drugim wystający jak bukszpryt.

Minęły cztery minuty od momentu, gdy pierwszy oficer otrzymał rozkaz. Pojawił się, poprzedzony mężczyzną trzymającym latarnię, a sam niosąc podłużny, sztywny pakunek, zamknięty w ciemnej osłonie, obwiązany jak kiełbasa.

– Jestem gotowy, panie kapitanie. Uznałem, że wystarczy prosta torpeda, wypełniona dziesięcioma kilogramami bawełny strzelniczej¹.

– Bardzo dobrze. Łódź jest gotowa, drzewce, które ma przyjąć torpedę, jest na miejscu, proszę powiadomić swoich ludzi.

Łódź z załogą pozostała zawieszona na blochkach tuż nad relingiem. Drugi oficer, nadal niewzruszony, położył paczkę na ławce i rzekł tylko:

– Uwaga, chłopcy... to torpeda.

¹ *Bawełna strzelnicza* (nitroceluloza, piroksylina) – związek organiczny, azotan celulozy o zawartości azotu wyrażonej w % wagowych: 11,0-12,3 oraz 13-13,45; materiał wybuchowy kruszący; dawniej stosowany do napełniania min, obecnie do wyrobu prochów bezdymnych.

Przeskoczył przez reling, zajął miejsce na samym dziobie i oglądał proste urządzenie, przygotowane podczas jego krótkiej nieobecności.

Drewniany drąg, który miał służyć za trzonek torpedy, był dobrze utrzymywany przez pierścień linowy, który zapobiegał jego wysunięciu się na bok, pozostawiając jednocześnie wystarczającą swobodę, aby mógł się swobodnie przesuwac do przodu i zanurzac się po skosie pod własnym ciężarem powiększonym o ciężar ładunku wybuchowego.

Podczas tej szybkiej kontroli łódź została spuszczone na wodę. Pozostawała przez chwilę nieruchoma, podczas gdy oficer wymienił szeptem kilka słów z kapitanem... Następnie ten ostatni wydał głośny rozkaz:

– Płyńcie!

Łódź natychmiast odbiła, ślizgnęła się po spokojnych falach, popędziła w ciemność i zniknęła.

Trzy minuty później skrzypienie wiosel w dulkach¹ i rytmiczne pluskanie wody zwiastowały jej powrót.

Pojawiła się pędząc z pełną prędkością, pośrodku kręgu światła rzucanego przez płomienie, kierując się prosto na statek. Ten krótki czas wystarczył, aby zamontować torpedę na końcu drzewca, które wystawało około ośmiu metrów przed dziób, ale nadal pozostawało w równowadze i równolegle do powierzchni fal dzięki energicznemu naciskowi wywieranemu przez Drugiego na tylny koniec. Nacisk ten wystarczył, aby zapobiec jego zanurzeniu się końcówką.

W odległości dwudziestu metrów od kadłuba parowca pierwszy oficer pozwolił drzewcu zanurzyć się, które pod ciężarem torpedy przechyliło się do przodu i zanurzyło się w falach pod kątem około 45 stopni.

Nieustraszony oficer wskoczył na skrzynię na dziobie, chwycił się kawałka drewna, utrzymał go prostopadle do osi statku i czekał na uderzenie.

Łódź, która nadal płynęła, nagle się zatrzymała.

Rozległ się głuchy, stłumiony odgłos, przypominający wybuch miny. Wielka kolumna wody uniosła się pionowo wzdłuż żelaznej

¹ *Dulki* – podparcia wiosel wykonane w kształcie obrotowych widełek mocowanych na burcie łodzi lub okutego otworu.

ściany. Statek, wstrząśnięty gwałtownym drżeniem, podskoczył od stępki po szczyty masztów.

– Wiosłujcie do tyłu! – rozkazał kapitan grzmiącym głosem nie-wzruszonym wiosłarzom będących jakby pod prysznicem.

Łódź, miotana przez fale, wróciła do równowagi i oddaliła się, aby przybić do burty w odpowiednim czasie i miejscu.

Otwór wyrwany w żelaznej ścianie przez eksplozję musiał być znaczny, ponieważ statek, nagle obciążony ogromną ilością wody, zaczął tonąć.

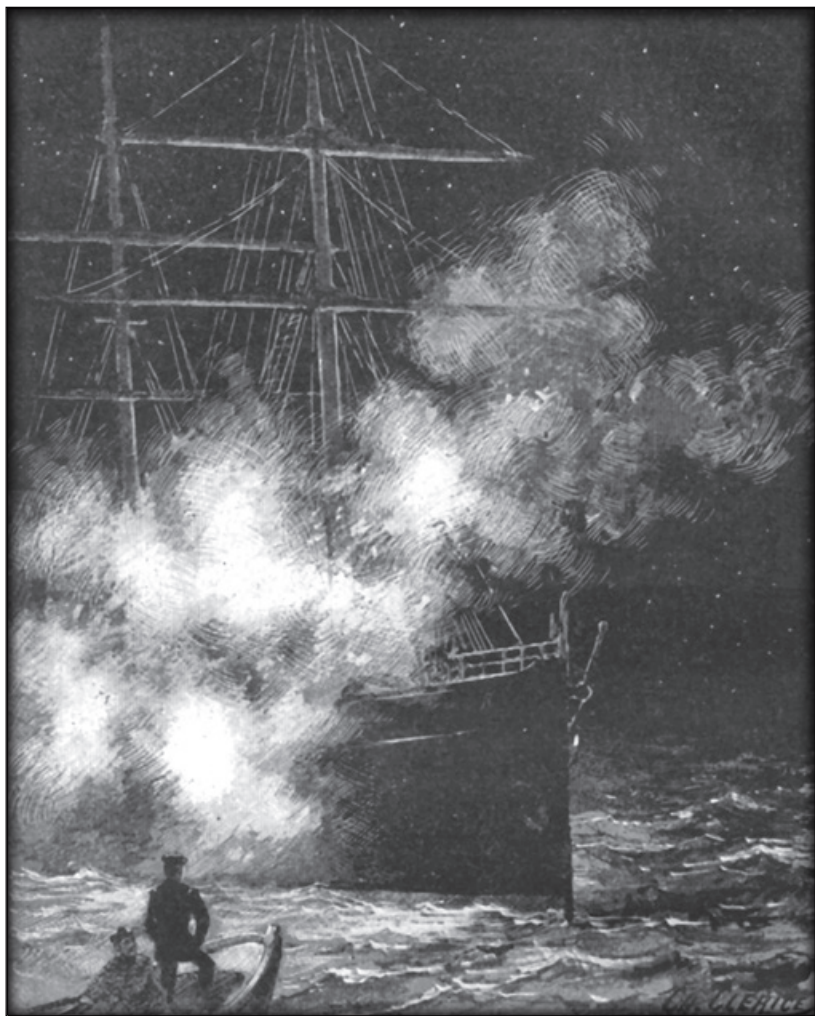
Ale także heroiczne remedium kapitana zadziałało jak dotknięcie czarodziejskiej różdżki. Ze wszystkich stron płomienie, w dużej mierze ugaszone, syczały i trzeszczały w kontakcie z wodą, wydzielając ogromne wiry białej pary. Między tymi dwoma żywiołami toczyła się krótka, ale decydująca walka. Wkrótce gęsta para wydobywająca się z dziobu staje się coraz jaśniejsza, przenikliwie buczenie ucichło, wszelkie odgłosy ustały. Pożar został opanowany, ale jakim kosztem!

Steamer, choć nie znajdował się w absolutnie krytycznej sytuacji, nie był w stanie kontynuować podróży. Aby uniknąć kolejnych wypadków, które mogłyby doprowadzić do jego nieodwracalnej utraty, musiał dotrzeć do najbliższego portu, czyli Singapuru, oddalonego już o ponad czterysta kilometrów.

W normalnych warunkach, przy nienaruszonym kadłubie i sprawnej maszynie, wystarczyłyby mu tylko dwadzieścia cztery godziny, przy średniej prędkości dziesięciu węzłów. Niestety, maszyna nie działała z powodu braku ciągu. Konieczne było jej wyłączenie w celu przeprowadzenia poważnej naprawy, co spowodowało co najmniej jednodniową stratę czasu.

Kapitan wydał już rozkaz postawienia żagli, zmiany kursu i skierowania się w stronę angielskiej wyspy. Jednak z jednej strony parowiec, który stał się zwykłym żaglowcem, a z drugiej strony nadmiernie obciążony przez zalanie przedniej komory, stał się mniej zwrotny. Poruszał się niezwykle wolno, mimo że miał postawione wszystkie żagle. Na szczęście sprzyjał mu monsun.

Kapitan, być może bardziej zaniepokojony, niż chciałby to przyznać, z gorączkową niecierpliwością czekał na nadejście dnia, aby



Otwór wyrwany w żelaznej ścianie przez eksplozję musiał być znaczny, ponieważ statek, nagle obciążony ogromną ilością wody, zaczął tonąć.

wysłać nurków do wnętrza statku w celu oceny szkód spowodowanych pożarem i rozpoznania rozmiaru wyrwy spowodowanej przez torpedę.

Chodził tam i z powrotem po rufie, rozmyślając o tej serii nie mniej nieoczekiwanych, co dramatycznych wydarzeń i nie mogąc pogodzić się z rzeczywistością takiej katastrofy. „Indus” został przejęty przez zbuntowanych Chińczyków, sztab i załoga zostali wymordowani, a „Godaveri” znalazł się w niebezpieczeństwie w najbardziej krytycznym momencie dzięki zbrodniczej zmowie kogoś z załogi!

Kim był ten nędnik? Gdzie go znaleźć? Kogo podejrzawać...?

Z drugiej strony, czy wszelkie niebezpieczeństwo zostało zażegnane? Czy „Indus”, który stał się ofiarą piratów, nie powróci na wody „Godaveri”, aby go ścigać, co niestety było zbyt łatwe, zaatakować go i spróbować przejąć bogactwa, które przewoził? Czyż ci ludzie nie byli gotowi na wszystko?

Na tę myśl ogarniała go nagła wściekłość i krzyknął głośno, odgryzając cygaro:

– Wolałbym wszystko wysadzić w powietrze!

– Jak to, kapitanie, wszystko wysadzić w powietrze...! Nawet mnie!? – zapytał świeży, krystaliczny głos za oficerem, który zatrzymał się zaskoczony.

W tym samym czasie na rufówce pojawiła się smukła, biała postać i powoli zbliżała się.

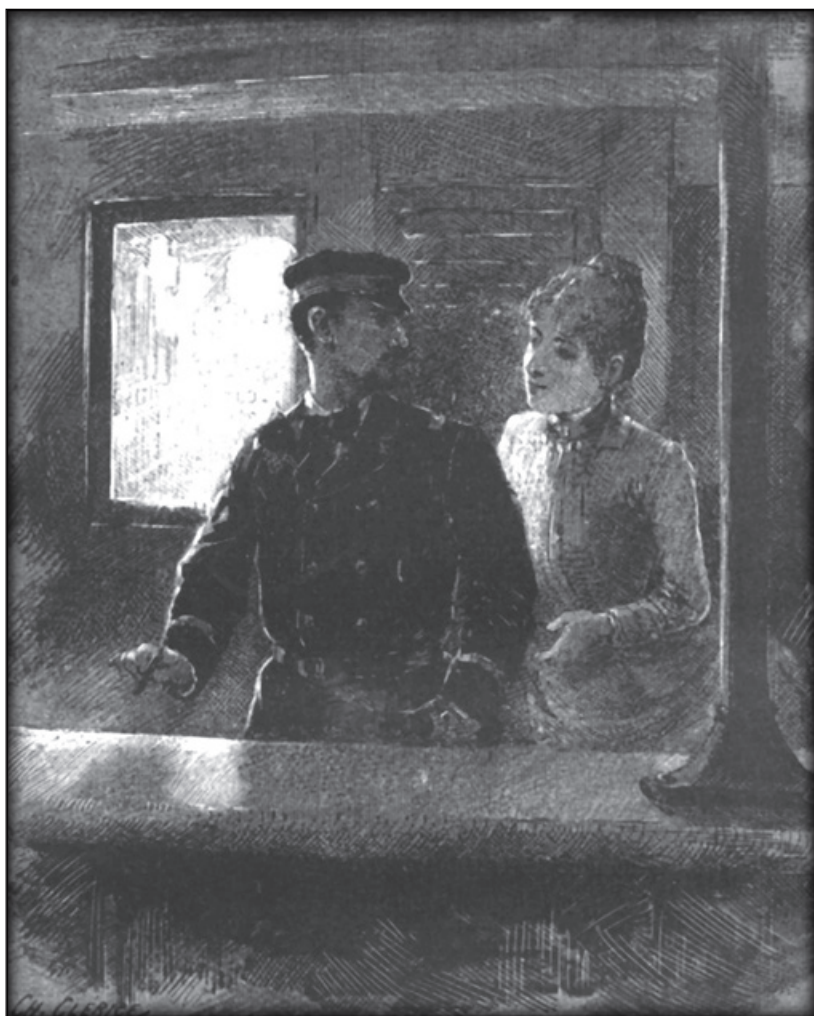
– Pani tutaj! – odparł z pewną żywiołowością. – Dałem jednak rozkaz, aby uniemożliwiono pani wyjście... a raczej poproszono... aby... pozostała pani u siebie.

– Dlatego też wykonałam polecenie z posłuszeństwem zwykłego marynarza, dopóki uważałam, że moja obecność może przeszkadzać w manewrze. Ale teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, nie mogę się doczekać, aby dać trochę odpocząć moim biednym nerwom... Wbrew sobie uchwyciłam jedną z pańskich uwag... Czy zdaje sobie pan sprawę, że nie była ona wcale uspokajająca?

– Przepraszam... Nie wiedziałam o pani obecności.

– Bardzo się cieszę, że ją usłyszałam, ponieważ wątpię, czy wypowiedziałby pan ją, wiedząc, że tu jestem.

– Oczywiście, że nie, proszę pani.



– Jak to, kapitanie, wszystko wysadzić w powietrze...! Nawet mnie!?! –
zapytał świeży, krystaliczny głos za oficerem, który zatrzymał się zaskoczony.

– A zatem w każdej chwili grozi mi, że nagle porwie mnie eksplozja, która roztrzaska ten nieszczęsny statek i rozruci nas na wszystkie strony...

– Och! Proszę pani – rzekł kapitan z heroiczną naiwnością – nie bez uprzedzenia pani!

– Dziękuję! Jest pan bardzo miły i doceniam wartość tego postępowania, choć wydaje mi się ono nieco... gwałtowne!

– Niestety, niektóre sytuacje wymagają desperackich rozwiązań.

– Co? Czy już doszliśmy do tego punktu? – odrzekła dziewczyna, której głos nie zdradzał najmniejszych oznak wzburzenia.

– Nie, na szczęście jeszcze nie, ale w naszej sytuacji musimy być gotowi na wszystko... przynajmniej dopóki nie dotrzemy do Singapuru.

– Co? Muszę wrócić do tego okropnego miasta, gdzie wszystko jest hałasem, ruchem, gorączką i upałem? Być zmuszoną do towarzystwa tych hałaśliwych panien, które żyją tylko dla krykieta, koni i tenisa ziemnego...? Chcę wrócić do mojego dziadka.

– Spełnię pani życzenie, ale najpierw musimy zawrócić do Singapuru... To dla nas kwestia życia lub śmierci.

– Proszę wyjaśnić.

– Wie pani o strasznych wydarzeniach, które miały miejsce. Wyśłałem do pani lekarza, aby ostrzegł panią, zachowując wszelką dyskrecję...

– Pański lekarz niemal doprowadził mnie do śmierci z niecierpliwości, swoją powściągliwością. Czy pan sądzi, że nie słyszałam wystrzałów armatnich, odgłosów walki na „Indusie” i nie widziałam sygnałów alarmowych? Czy pan sądzi, że nie zauważyłam pożaru, który omal nie strawił naszego statku, i awarii maszyny, która zmusiła nas do płynięcia pod żaglami? Czy w końcu sądzi pan, że marynarze, przechodząc obok moich otwartych iluminatorów, dzieląc się swoimi wrażeniami naśladowali powściągliwość doktora?

– Drzę na samą myśl o tym, jak wielki musiał być pani niepokój!

– Przez pół godziny, a może nawet dłużej – minuty w takich przypadkach są długie – byliśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Cóż, zapytaj pan doktora, czy dałam jakikolwiek znak emocji.

Oczywiście płakałam, gdy na „Indusie” dochodziło do rzezi. Ale czysto materialne katastrofy, których tutaj doświadczyliśmy, pozostawiły mnie niewzruszoną.

– Wiem, że jest pani dzielna i nikt bardziej niż ja nie podziwia pani energii, ale...

– W związku z tym proszę traktować mnie jak mężczyznę i powiedzieć mi prawdę. Czego się pan obawia?

– Ofensywnego powrotu bandytów, którzy przejęli władzę nad „Indusem”, i możliwości, że nie będę w stanie stawić im zwyczajnego oporu moim na wpół uszkodzonym statkiem. Dlatego właśnie ta brutalnie sformułowana przez marynarza refleksja wymknęła mi się przed chwilą, na myśl o wpadnięciu w ich ręce, a zwłaszcza o tym, że pani wpadnie.

– Dobrze, kapitanie, tak właśnie trzeba mówić! Wysadzimy się więc w powietrze, jeśli będzie trzeba... ale powtarzam, że za pogorszenie sytuacji uważam podróż do Singapuru!

– Nie ma potrzeby, abym wymieniał główne powody, które zmuszają mnie do sprzeciwienia się pani. Po pierwsze, troska o pani bezpieczeństwo i bezpieczeństwo załogi.

– Powiedz raczej o nasze bezpieczeństwo, ponieważ jesteśmy tu solidarni.

– Po drugie, z Singapuru będę mógł wysłać do wszystkich portów na całym świecie telegramy informujące o katastrofie statku „Indus”, podając jego dane identyfikacyjne i wzywając władze wszystkich krajów do zatrzymania go wraz z buntownikami.

– Ma pan rację.

– Muszę również skierować nasz nieszczęsny statek do suchego doku, aby naprawić ogromną wyrwę w jego burcie spowodowaną przez torpedę. Jednak w całym regionie jedyny basen znajduje się w Singapurze.

– Ta naprawa będzie prawdopodobnie długotrwała?

– Potrwa co najmniej dwa tygodnie, zakładając jednak, że znajdzie się wolny basen.

– Umrę w tym okropnym mieście...!

– Może byłby pewien sposób.

– Jaki?

– Należałoby za wszelką cenę kupić inny statek i natychmiast wypłynąć.

– Proszę mi powiedzieć, czy statek jest bardzo drogi?

– Aby znaleźć statek, który posiadałby cechy „Godaveri”, luksusowe wyposażenie, trzeba by wydać ponad milion.

– Milion, to dla mnie niewiele znaczy. Nigdy nie zajmowałam się kwestiami finansowymi, ponieważ mój dziadek zawsze dbał o zaspokojenie wszystkich moich pragnień. Myślę jednak, że musi to być dość znaczna kwota.

– Na szczęście nie dla nas – odparł oficer, uśmiechając się do tej naiwności rozpieszczonego dziecka, dla którego pojęcia bogactwa, przeciętności czy nędzy były tylko abstrakcjami. – Mam na pokładzie znaczną ilość diamentów, które mogę korzystnie sprzedać i zamienić na gotówkę. Ponadto przed wypłynięciem pan Synteza podpisał mi weksle kredytowe w najlepszych bankach na całym świecie. W razie potrzeby mogę w ciągu kilku godzin uzyskać około pięćdziesiąt milionów.

– Więc płynmy szybko kupić piękny i dobry statek.

– Być może uda mi się znaleźć jacht spacerowy... to byłoby prawdziwe szczęście, gdyż statki handlowe są zazwyczaj wyposażone w bardzo podstawowy sposób. Chyba że kupimy statek pasażerski, który agencja generalna w Singapurze sprzeda nam za cenę złota.

– Tak jest... statek pasażerski. Widzieliśmy takie piękne statki obsługujące duże wyspy Indo-Malajskie! Następnie będziemy kontynuować tę piękną podróż, udając się tam, gdzie tylko zechcemy. Nie zatrzymuj się na kwestii pieniędzy... To musi być takie nudne, liczyć... Poza tym dziadek daje mi swobodę.

– Dołożę wszelkich starań, aby zapewnić pani wszelkie wygody, a także maksymalne bezpieczeństwo.

– Kupi mi pan ptaki, prawda... ptaki, które śpiewają. I kwiaty... mnóstwo kwiatów. Na łodzi wypuszczam ptaki na wolność, a kwiaty pozostawiam w ogrodach, wystarczy mi je słyszeć i oglądać. Na morzu ich obecność sprawi mi radość i wypełni godziny samotności.

– Będzie pani miała ptaki i kwiaty do swojej dyspozycji.

– Och, jak miło z pana strony, kapitanie, że tak bardzo stara się pan spełnić moje pragnienia... Kiedy wrócimy tam, opowiem dziadkowi o wszystkich pańskich uprzejmościach i zobaczy pan, jak bardzo będzie zadowolony. Do widzenia, kapitanie, wracam do siebie. Proszę zobaczyć, jak moje biedne Murzynki mnie szukają i boją się, że przeziębę się na tym paskudnym, silnym wietrze, który zaczyna wiać.

Wtedy beztrioska dziewczyna, zapominając już o złowieszczych słowach wypowiedzianych przez oficera na początku tej swobodnej rozmowy, zniknęła, śpiewając słodką hinduską melodię.

Kapitan, być może bardziej pochłonięty tą rozmową, niż sam sobie uświadamiał, zauważył, że wiatr się wzmaga. Bryza świstała w takielunku, napełniała żagle i sprawiała, że omasztowanie skrzypiało. Statek przechylał się, ale wydawało się, że nabiera nieco prędkości.

Nagle wiatr ucichł, pozostawiając żagle w łopocie. Przez kilka minut panuje ciężka cisza. Potem pojawia się nowa bryza.

Oficer, zauważając te nagłe zmiany w podmuchach monsunu, obawiał się, nie bez powodu, gwałtownego skoku wiatru. Szybko sprawdził barometr i zauważył znaczny spadek ciśnienia, który nastąpił w ciągu kilku minut. Przypomnił sobie wtedy stan nieba poprzedniego wieczora, krótko przed zachodem słońca. Atmosfera była niezwykle przejrzysta, z dużymi białymi, puszystymi chmurami, rozproszonymi, kilkoma tęczmami i krwistoczerwonym horyzontem. Wydarzenia tej nocy sprawiły, że na chwilę zapomniał o tej osobliwości.

„No cóż – pomyślał, reagując na gwałtowne, ale przemijające emocje – próby nie mają końca. Po buncie i morderstwie nastąpił pożar, a po pożarze burza...! Bo albo się bardzo mylę, albo za pół godziny uderzy w nas tajfun”¹.



¹ *Tajfun* – lokalna nazwa cyklonów tropikalnych używana we wschodniej i południowo-wschodniej Azji; jest odpowiednikiem huraganu, określenia stosowanego dla identycznych zjawisk nad akwenami Oceanu Atlantyckiego.

Rozdział VII

Tajfun – Nagła zmiana wiatru – Walka z huraganem – Genialne manewry – „Godaveri” w dryfie – Skazany na śmierć – Okaleczenie – Trzeba ściąć maszty – Panika – Statek nadal ucieka przed pogodą – Podwodna skała – Osadzenie na mieliźnie – Agonia statku – Stanowczość – Objawienie charakteru młodej dziewczyny – „Wyjść przedostatnia” – Szalupy na morze! – Jak olej uspokaja fale – Pęknięcie fokmasztu – Straszna katastrofa – Pośród fal – „Godaveri” przestał istnieć – Sami – Desperacka walka – Czy to koniec?

Tajfuny to huragany występujące na morzach Dalekiego Wschodu, zwłaszcza w Chinach. Pojawiają się z piorunującą szybkością i prawie bez żadnych znaków zapowiadających ich nadejście. Dlatego też zazwyczaj trudno jest przewidzieć, nawet w krótkim okresie, tę straszną katastrofę, ponieważ czerwony kolor nieba, mgła na horyzoncie, dość częsta zresztą w okolicach Chin i Indochin, morze smagane przeciwnymi falami, nie są pewnymi oznakami ich nadejścia, nawet jeśli mają pewną wartość.

Nagły spadek ciśnienia barometrycznego ma bardzo duże, a nawet zasadnicze znaczenie. Niestety, zbyt często zdarza się, że spadek ten poprzedza pierwsze podmuchy wiatru, tak że statek, który napotka tajfun, może od samego początku znaleźć się w poważnym niebezpieczeństwie, mimo że jego kapitan nie zawiódł w kwestii przewidywalności.

Wreszcie, tajfun szaleje z jeszcze większą furią w pobliżu wybrzeża, co czyni go szczególnie niebezpiecznym dla statków stojących na redzie lub żeglujących w pobliżu lądu.

Tak było w przypadku „Godaveri”, który znajdował się w stosunkowo niewielkiej odległości od wschodniego wybrzeża Malakki.

Kapitan Christian, chcąc uniknąć ewentualnego pościgu ze strony statku „Indus”, okrył swój statek płótnem i płynął pod pełnymi żaglami po wzburzonych falach. Widząc, że wiatr nagle słabnie i nie mogąc przewidzieć, z której strony nadejdzie uderzenie, wskoczył na mostek, wezwał wszystkich do manewrów i zabrał się do zmniejszania ożaglowania.

– Ze względu na bliskość wybrzeża – powiedział do oficera stojącego obok niego – uważam, że należy pilnie zmienić kierunek i wypłynąć na otwarte morze.

– Całkowicie się z panem zgadzam, kapitanie. Zagroza nam tajfun, nie ma co do tego wątpliwości. Jeśli wiatr zacznie wiać z północy, jak to zwykle bywa na początku huraganu, możemy płynąć jak najbliżej w kierunku północny wschód, aby uniknąć prądu, który wkrótce skieruje nas na zachód.

– Ma pan rację – odpowiedział kapitan – i uważam, że z drugiej strony...

Nagle w masztach rozległ się przerażający trzask, który przerwał wypowiedź oficera. Wiatr znów zaczął wiać z północy z ogromną siłą, ale nie osiągnął jeszcze intensywności, jaką będzie miał za chwilę tajfun.

– Uwaga tam na dole! – krzyczeli marynarze, uciekając na rufę.

W tym samym czasie maszt z bramslami przewrócił się na dziobie, łamiąc się jak zapałka. „Godaveri”, który właśnie ruszył pod wpływem podmuchu wiatru, ponownie zatrzymał się i zaczął wyostrzać z niepokojącą szybkością.

– Ster na wiatr...! Cały...! – rozkazał kapitan.

Następnie pospiesznie nakazał oczyścić dziób, ponieważ szczątki masztu, które spadły z tej samej burty, pozostawały zawieszone na linach takielunku i uniemożliwiały sterowanie statkiem. Gdy tylko zakończono tę manewr wykonany z niezwykłą szybkością, rozległ się głośny szum. Prawdziwa trąba powietrzna uderzyła w statek, który, płynąc prawym halsem, zaczął przechylać się na lewą burtę, sprawiając wrażenie, że zaraz się przewróci.

Kapitan miał nadzieję, że będzie miał jeszcze trzydzieści minut wytchnienia, ale huragan nie dał mu nawet pięciu!

– Ster na zawietrzną...! Cały...! Poluzować wszystkie szoty...! Obrócić na prawą burtę...! Trzymać dobrze...! Przywiązać...! Ster zero...!

Na szczęście załoga „Godaveri” składała się z wyszkolonych ludzi. Wszystkie te rozkazy zostały wykonane z szybkością i regularnością, które uratowały statek. Sytuacja trzymasztowca nie była jednak mniej tragiczna, ponieważ płynął on teraz prawie z wiatrem,

z prędkością czternastu węzłów, w kierunku lądu, kołysząc się straszliwie pośród wzburzonego morza. Maszty skrzypiały ponuro i w każdej chwili groziły zwaleniem.

– Dziesięciu ludzi na fokmaszt...! Dziesięciu ludzi na grotmaszt...! Osiem osób na bezanmaszt...! Sześciu ludzi na dziób...!

Marynarze rzucili się na swoje stanowiska.

– Zwinąć główne bramsle! – krzyczał kapitan głosem, który dominował nad wichurą.

Wysłuchani w oczekiwane polecenie, ludzie udali się do gordinów i brasów, podczas gdy inni rzucali się na fały, szoty, brasy, które zwalniali na polecenie:

– Ściągnąć...! Zwinąć...! Następnie natychmiast: Zwolnić liny marsli...! Obrócić do wiatru...! Zwolnić fały...! Obciążyć gordiny...! Trzymać mocno...! Luzować...! Spuścić bezan...! Spuścić kliwer...! Spuścić bomkliwer...! Opuścić latacz!

Dzięki tym manewrom, wykonanym bez opóźnienia i bez żadnych incydentów, „Godaveri” płynął pod grotżaglem i fokżaglem.

Kapitan wołał zachować dolne żagle zamiast marsli ze względu na masę wody wypełniającą przednią część statku. Uważał, nie bez powodu, że żagle górne zbyt obciążą dziób i spowodują „przechylenie” statku.

Wkrótce nawet uznał, patrząc na sposób, w jaki statek zanurzał dziób w falach, że grotżagiel jest zbędny i kazał go zwinąć.

Tymczasem nastał dzień. Był to dzień ponury i pochmurny, ledwo oświetlający ołowiane fale, które zdawały się zderzać z czarnymi jak atrament chmurami.

Morze, jeśli to w ogóle było możliwe, jeszcze bardziej się wzburzyło. Potworne fale uderzały w „Godaveri” i z przerażającą siłą rozbijały się o nieszczęsny statek, który kołysał się z boku na bok.

Na rozkaz kapitana łodzie, wyciągnięte na żurawikach, zostały podniesione tak, aby dotykały want. Podwójnie wzmocniono mocowania dwóch łodzi umieszczonych między masztowinami oraz same masztowiny. Na lukach przybito brezenty, a na lewej i prawej burcie zainstalowano liny, aby umożliwić ludziom wykonanie manewrów.

Po półtorej godzinie sytuacja stała się nie do zniesienia. Z każdą minutą można było sądzić, że maszty złamią się pod uderzeniami bałwanów.

Kapitan postanowił postawić statek w dryf.

– Ustawcie fok...! skróćcie na wiatr...! podciągnąć przy lewej burcie...! Ster na zawietrzną...! Podnieść mały fok! Podnieść główny marsel! Postawić sztaksel! Podnieść bezan! Wszędzie pościskać! Sternik...! uważaj na gwałtowne zboczenia...!

Przytłaczani przez fale, które z furią rozbijały się o pokład, ogłuszeni przez słupy wody, przemoczeni do suchej nitki, marynarze trzymali się mocno za wyblinki want, aby nie zostać porwanymi przez fale.

Obciążony przez wodę, która wypełniała jego przedział, „Godaveri” w każdej chwili mógł zatonać. Nie mógł podnieść się na fali i zanurzał się jak śmiertelnie ranny ptak morski.

– No cóż! Co o tym sądzisz? – zapytał między dwoma uderzeniami wiatru dowódca pierwszego oficera.

– Myślę, że za pół godziny zatoniemy.

– A może znów zaczniemy uciekać z wiatrem...?

– Wytrzymamy jeszcze godzinę.

– Jestem tego samego zdania. Ponieważ wolę godzinę niż trzydzieści minut, popłyniemy śladem. Zwinąć bezan...! Zwinąć sztaksel...! Zwinąć grotmarsel. Sternik...! Ster na zawietrzną!

Ale statek nie płynął.

– Ster na zawietrzną...! Cały...! Podnieść kliwer...!

Ten ostatni manewr w końcu sprawił, że statek skrzył na lewą burtę.

– Ster prosto...! Opuścić kliwer...! Poluzować szot bomkliwra! A gdy statek zanurzał się dziobem: – Poluzować szoty fokmasztu...!

Statek płynął teraz pod fokżaglem i bomkliwerem. Fale znów uderzały w rufę, spływając kaskadami na pokład. Ludzie, wyczerpani tą straszną walką, bez wytchnienia, bez litości, a także bez nadziei, niestety!, desperacko trzymali się wyblinek.

Sytuacja była nie do utrzymania. Nieuchronna i nieodwracalna katastrofa była tuż-tuż, ponieważ nie miano już możliwości manewru. Pozostawała tylko ostatnia ofiara, aby przedłużyć agonię trzymaszowca. Ta ofiara, a raczej okaleczenie, polegało na ścięciu masztów. Miano zrobić jak chirurg, który amputuje rannemu dotkniętemu gangreną kończyny, aby ocalić tułów.

– Przygotować siekiery! – rozkazał kapitan, którego energiczna twarz lekko zbladła.

W tym momencie kilkunastu mężczyzn: maszyniści, palacze lub pomocnicy mechaników, ogarniętych paniką i przerażonych widokiem statku przechylonego na bok, sądziło, że statek się wywróci. Nie będąc przyzwyczajeni, tak jak marynarze, do tego potężnego szaleństwa żywiołów, być może mniej zdyscyplinowani, z pewnością mniej odważni w obliczu huraganu, rzucili się jak stado w kierunku dużej szalupy i chcieli przeciąć cumy, aby ją zrzucić na wodę.

Ten szalony czyn mógł być zaraźliwy.

– Do tysiąca piorunów! – krzyknął kapitan, wyciągając zza pasa rewolwer. – Pierwszemu, który nie wykona rozkazu, rozwalę łeb! Wszyscy po siekiery...!

Wiedząc, że oficer jest człowiekiem, który natychmiast spełni swoją groźbę, zaraz podążyli za swoimi towarzyszami, którzy chwytając się jak pijani, kierowali się do pomieszczenia na rufie w poszukiwaniu siekier.

Nadszedł fatalny moment.

Nagle „Godaveri” przechylił się tak bardzo na lewą burtę podczas gwałtownego skrętu, że woda wdarła się na pokład, a jego dziób zniknął pod falami.

– Ster na wiatr...! Cały...! Przelóż fał fokowy pod wiatr...! Odważnie, chłopcy...! Naciągnijcie bomkliwer...!

Statek nie płynął. Ster, całkowicie wynurzony z wody, nie działał. Nie było już czasu na wahanie.

– Zrąbać bezanmaszt!

Część ludzi rzuciła się do masztu i zaczęła go rąbać siekierami, podczas gdy inni przecinali podwiewi want i padun pod masztem, sztagi grotmarsła i grotbramsła, oraz liny na prawej i lewej burcie.

Maszt był w połowie odcięty.

– Cięcie od podwietrznej!

Rozległo się dziesięć uderzeń siekierą. Wanty i paduny z prawej burty świsnęły w powietrzu.

Maszt rufowy zwałił się na lewą burtę z potężnym trzaskiem i zniknął na grzbiecie fali, która porwała go i uniosła w swoim szaleńczym pędzie. Statek jeszcze nie zareagował.



– Pierwszemu, który nie wykona rozkazu, rozwałę łeb!
Wszyscy po siekiery...!

– Ściąć grotmaszt...!

Marynarze, ogarnięci prawdziwą furią niszczenia, jeszcze spotęgowaną przez zbliżające się niebezpieczeństwo, rzucili się na maszt główny, który, podcięty ze wszystkich stron, dołączył do masztu rufowego.

Krzyk radości wydobyły się z wszystkich piersi, gdy okaleczony „Godaveri” w końcu podniósł się i kontynuował swoją drogę, uciekając przed huraganem.

Tajfun szalał przez cały dzień, popychając nieszczęsny statek w kierunku wybrzeża. To prawdziwy cud, że jeszcze się nie rozbił, ponieważ, niestety!, brzeg musiał być już bardzo blisko.

Jak więc uniknąć osiadania na mieliźnie, które w takich okolicznościach jest jeszcze bardziej niebezpieczne niż zmierzenie się z samym pełnym morzem?

Kapitan postanowił ponownie ustawić statek w dryf pod fokiem, aby pokonywać jak najmniejszą odległość.

– Sternik...! ster na zawietrzną...! Zwiń szot fokzagli po zawietrznej...! zwiń bomkliwer...!

Statek natychmiast skręcił i przeszedł na prawą burtę.

Zbliżała się noc, ale wiatr wydawał się znacznie słabnąć. Ponadto barometr, który spadł do 728 milimetrów, teraz wzrósł do 739.

Wszyscy odzyskali nadzieję i cieszyli się, że w tak cudowny sposób uniknęli strasznej śmierci.

Kapitan nakazał podwojenie racji dla wyczerpanej załogi, gdy nagle potężne uderzenie przewróciło oficerów i marynarzy i wstrząsnęło fokmasztem, który zatrzeszczał aż do pięty. Dwa szybkie uderzenia bałwanów wstrząsnęły statkiem, który wkrótce pozostał nieruchomy. „Godaveri” podczas dryfowania został wyrzucony na rafę wynurzoną tuż nad powierzchnię wody.

Gdyby w tym momencie nadal płynął z wiatrem, z pełną prędkością, zostałby rozcięty na pół i zatonał. Natomiast dryfując, pokonując niewielką odległość, został niejako wyrzucony przez falę między dwie skały, które podtrzymały go z obu stron.

Długi wrzask przerażenia zastąpił radosne okrzyki, a wszędzie, pośród chaosu marynarzy, którzy podnieśli się, potykając się, spanikowani, rozbrzmiewał ten ponury krzyk:

– Jesteśmy zgubieni...! Ratuj się, kto może!

Po raz drugi, w interesie tych nieszczęśników, kapitan musiał uciec się do groźby, aby powstrzymać ich przed rzuceniem się do dwóch łodzi.

Spokojny, jakby jego statek płynął po gładkim morzu, w kilku krótkich, pełnych odwagi i rozsądku słowach pokazał im bezsensowność ich postępowania.

– Pozwólcie mi więc – rzekł im na koniec – zadbać o wasze bezpieczeństwo. Poczekajcie przynajmniej, aż morze się uspokoi... Jutro będę wiedział, gdzie jesteście i jak daleko znajdujemy się od brzegu... Jeśli, wbrew moim oczekiwaniom, statek będzie zagrożony zatonięciem, jako pierwszy doradzę jego natychmiastowe opuszczenie. No dalej, chłopcy, miejcie odwagę i wiarę w swojego kapitana!

Ale sytuacja, choć nie była beznadziejna, to jednak nie mniej straszna. Czy „Godaveri” wytrzyma do końca nocy atak fal, które uderzały w niego z przerażającą siłą, prosto w prawą burtę?

Co się stanie, jeśli zostanie nagle wyrwany ze skał, które go otaczają, lub jeśli jego burta ustąpi pod nieustannym, nieodpartym naciskiem płynnych gór?

Co się stanie, jeśli fokmaszt, który trzymał się tylko cudem, zwali się? Na pokładzie pozostały tylko dwie szalupy, ponieważ wszystkie łodzie opuściły statek wraz z grotmasztem i bezanmasztem. Jak uda się zwodować te ciężkie łodzie, skoro brak fokmasztu uniemożliwia użycie masztu do podniesienia ładunku!

Marynarze odzyskali pewność siebie, widząc, że łodzie są wyposażone i gotowe do wypłynięcia na morze na pierwsze polecenie. W końcu zdecydowali się coś zjeść i odpocząć.

W międzyczasie kapitan, który od dwudziestu czterech godzin ani na chwilę nie opuścił mostka kapitańskiego, mimo że uspokoiła go nieustraszona postawa dziewczyny, której stanowczość nie osłabła ani na chwilę, udał się do jej kajuty, aby zachęcić ją do przygotowania się na wszelką ewentualność.

– A więc – powiedziała, witając go swoim wdzięcznym uśmiechem – nie płyniemy już do Singapuru?

– Niestety, nie...!

– Mówi to pan z taką smutną miną!

– Gdybym był sam, bez wahania pogodziłbym się z sytuacją, której finał może być dla pani tragiczny...

– Więc sytuacja jest rozpaczliwa...?

– Oczywiście, że nie, ale drzę na samą myśl, że narażona jest pani na niebezpieczeństwo rozbicia statku na niegościnnym wybrzeżu, zamieszkanym przez okrutnych Malajów.

– Cóż mogę zrobić, drogi kapitanie, podzielę los innych...

– Ale pani jest tylko dzieckiem... jeszcze chorym... przyzwyczajonym do wszystkich wygod życia.

– Do wszystkiego można się przyzwyczaić! Ech, popatrz! Nie wiem, czy to złudzenie, ale wydaje mi się, że już wcale nie jestem chora. Jeśli, jak mam nadzieję, nasza kampania zakończy się bez innych strat niż materialne, to naprawdę nie zapłacę zbyt wysokiej ceny za wyzdrowienie. Poza tym mój dziadek jest tak bogaty!

Ponieważ oficer, zdumiony takim spokojem, który być może wynikał z całkowitej nieświadomości niebezpieczeństwa, nie dodał ani słowa, dziewczyna kontynuowała:

– Tak więc, wszystko jest jasne: staniemy się rozbitkami... opuścimy biedny „Godaveri”. Czytałam w książkach podróżniczych i zawsze ze współczuciem, które wyciskało mi łzy z oczu, opisy takich nieszczęść...! Teraz nas to dotknęło...! Wydawało mi się, że nigdy nie znajdę się w takiej sytuacji. Powiedz mi, kapitanie, jak przebiega ewakuacja tonącego statku?

– Och, w bardzo prosty sposób, proszę pani. Kiedy ma się szczęście tak jak my, mieć trochę czasu, ładuje do łodzi zapasy, wodę, broń, sprzęt obozowy, instrumenty nawigacyjne itd. Pasażerowie, jeśli są na pokładzie, zaczynając od kobiet i dzieci, wsiadają jako pierwsi, a następnie marynarze, zaczynając od nowicjuszy, a kończąc na oficerach. Pierwszy oficer statku i pierwszy porucznik zajmują miejsca w pierwszej łodzi, a potem żegnajcie! Pozostali marynarze, bosmani i drugi porucznik wsiadają do drugiej łodzi, a następnie kapitan, który jako ostatni opuszcza pokład.

– W takim razie, jako pasażerka, mam wsiąść do pierwszej łodzi wraz z moimi służącymi.

– Oczywiście.

– A jeśli nie będę chciała!

– Będzie pani musiała.

– Powtarzam, jeśli nie będę chciała...!?

– Nawet jeśli będę musiał użyć siły, wsiadzie pani pierwsza.

– A ja, nawet jeśli będę musiała rzucić się w fale, oświadczam, że opuszczę statek tuż przed kapitanem.

– Ależ to szaleństwo!

– Być może, ale szaleństwo całkowicie świadome. Nie umknęły mi pewne oznaki nieposłuszeństwa, które w pewnym momencie mogły wywołać panikę. Pan reprezentuje władzę w całym jej formalnym, niepodważalnym wymiarze... ja reprezentuję mistrza. Pańskie obowiązki nakazują panu pozostać tutaj do końca... moje pochodzenie nakazuje mi dzielić nieszczęścia moich sług i myśleć o swoim bezpieczeństwie dopiero wtedy, gdy ich bezpieczeństwo zostanie zapewnione. Nie wątpię, że sama pańska obecność zapobiegnie wszelkim nieporządkom, ale jestem również pewna, że mój przykład przyczyni się do utrzymania w posłuszeństwie tych ludzi, którzy być może są przerażeni zbliżającym się niebezpieczeństwem.

W chwili, gdy kapitan, pełen podziwu dla tej stanowczości, jakiej nie podejrzewał, zaskoczony również nieoczekiwanym ujawnieniem takiego charakteru, pochylił się, pokonany, wzruszony, z każdej strony rozległy się krzyki przerażenia.

– Toniemy...! Toniemy...!

Zła wiadomość okazała się zbyt prawdziwa. „Godaveri”, miotany przez fale, które w każdej chwili groziły jego zniszczeniem, zaczynał powoli tonąć od rufy.

– Nie martw się o mnie, kapitanie – dodała poważnie dziewczyna. – Idź tam, gdzie wzywa cię obowiązek, będę blisko ciebie.

Morze nadal szalało. Jednak fale uderzały w prawą burzę, prostopadle do statku, co powodowało względny spokój po lewej burcie. Dzięki temu przypadkowemu zbiegowi okoliczności wodowanie łodzi miało szansę zakończyć się sukcesem. Z drugiej strony, dowódca,

chcąc maksymalnie ułatwić tę operację, kazał wyciągnąć na pokład beczki z olejem służącym do smarowania maszyn. W momencie, gdy pierwsza łódź, zawieszona na żurawikach, przesunęła się nad relingiem, rozbito jedną z beczek, a jej zawartość wylano na wzburzone fale. W jednej chwili cała powierzchnia pokryta cienką warstwą oleju uspokoiła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Łódź natychmiast opadła, nie kołysząc się zbyt długo, i szybko się oddaliła, obładowana swoją załogą, która krzyczała: „Hurra!”.

Kolejna beczka oleju była umieszczona na dziobie łodzi. Zatyczka została wcześniej usunięta, a ręczna pompa zanurzyła się w szeroko otwartym otworze. Jeden człowiek nieustannie poruszał pompą i wyrzucał strumień oleju, który natychmiast rozlewał się wokół łodzi, tworząc coś w rodzaju małego, całkowicie spokojnego jeziora pośród wzburzonych fal.

Po raz drugi rozległa się komenda:

– Szalupa na morze...!

„Godaveri” tonął coraz bardziej. Kołysał się od rufy do dziobu i znów zaczynał się zanurzać. Każda chwila była cenna, minuty były warte godzin. Kapitan nakazał powtórzyć operację, która zakończyła się sukcesem.

Z kolejnej beczki oleju, rozbitej siekierą, wylewała się zawartość przez lewą burtę na fale, które na chwilę się uspokoiły, ale już znów zaczęły szaleć.

Wsiadanie ludzi przebiegało metodycznie, bez pośpiechu, bez najmniejszych oznak chaosu. Ludzie, pełni zaufania do swojego dowódcy, który właśnie dał im tak przekonujący dowód swoich umiejętności, bez zastrzeżeń podziwiali również heroiczną młodą dziewczynę, która zrezygnowała ze wszystkich swoich przywilejów i nie chciała opuścić swojego miejsca, dopóki nie zostanie zapewnione bezpieczeństwo wszystkim. Ta wzniosła bezinteresowność nie poszła na marne, ponieważ dzięki niej można uniknąć wszelkiego chaosu. Nikt nie ośmielał się ani nie mógł myśleć o sobie w tak przejmującym momencie, kiedy wystarczyło jedno słowo, jeden gest, aby rozpętały się wszelkie pożądliwości, aby dać upust przejawom najpotworniejszego egoizmu.

Szybkim spojrzeniem kapitan upewnił się, że został sam na pokładzie z dziewczyną.

– Do dzieła! – rzekł krótko, podtrzymując ją silną ręką i czekając na moment, w którym szalupa, uniesiona przez falę, dotknie burty statku. A ponieważ mężczyźni, obawiając się, że łódź rozbije się o burtę statku, ściągnęli nieco linę, dodał: – Trzymajcie mocno cumę...!

Czy to zła wola, czy raczej niemożliwość fizyczna, odległość dzieląca łódź od wraku wydawała się rosnąć.

– Trzymajcie dobrze cumę...! – polecił z kolei grzmiącym głosem drugi porucznik, drżąc na myśl o niebezpieczeństwie, jakie groziło jego dowódcy i dziewczynie.

Przerażające trzaśnięcie przerwało mu w pół słowa.

Statek z niespotykaną siłą uderzył o dno. Maszt przedni, który już dawno pękł, nie wytrzymał siły uderzenia. Złamał się nagle metr nad pokładem, pozrywał wanty i sztagi po prawej burcie i pod naporem wiatru spadł na szalupę, rozbijając ją!

Nieszczęśnicy, którzy nie zginęli na miejscu, zostali wyrzuceni do morza i porwani przez fale, pośród szczątków, których desperacko próbowali się uchwycić.

Zszokowana tą nieoczekiwaną katastrofą, rozumiejąc niejasno, że jedyna nadzieja na ratunek właśnie przepadła, nieszczęsna dziewczyna cofnęła się gwałtownie i rzuciła na swojego towarzysza przeżalone spojrzenie.

– Odwagi! – krzyknął oficer, którego energia zdawała się rosnąć, przygotowując się do samotnej walki z niemożliwym, z niesamowitym.

W swoim płodnym umyśle szukał sposobu, jakiegokolwiek sposobu, aby wyrwać z otaczającej ich śmierci tę kruchą egzystencję, cenniejszą dla niego – w tej strasznej chwili w końcu odważył się to sobie przyznać – cenniejszą dla niego niż cokolwiek innego na świecie. Ale nie miał już czasu na zastanawianie się.

Liczyła się każda sekunda. Nagle statek przechylił się na bok, uniósł się rufą i opadł...

– Woda...! Woda...! – zawołała dziewczyna, której stopy właśnie zmoczyła fala uderzająca ukośnie w dziób.

Kapitan poczuł, jak pokład usuwa się spod jego stóp. Czuł, że ciśnienie powietrza zgromadzonego wewnątrz statku przełamie wszystkie bariery, wywołując efekt eksplozji.

Wtedy dziewczyna, której energia do tej pory nie osłabła, nagle straciła siły na widok szarych fal, które zamierzały ją pochłonać.

Zrozpaczona, dysząc, z zaciśniętymi dłońmi, wydała z siebie krzyk najwyższej rozpacz:

– Christian...! mój bracie...! mój przyjacielu... Na pomoc...! Christian...! na pomoc...!

– Och! Uratuję cię! – krzyknął oficer, który nie tracąc ani sekundy, objął ją lewym ramieniem i pociągnął za sobą w fale.

Silny jak starożytny gladiator, nieustraszony pływak, kapitan Christian, podtrzymując swoją towarzyszkę, która słabo się broniła, spieszył się, aby jak najszybciej oddalić się od konającego „Godaveri”. Ważne bowiem było, aby uniknąć eksplozji ściśniętego powietrza pod pokładem, który wybuchnie jak mina, a także wiru, który powstanie w miejscu, gdzie kadłub zostanie pochłonięty przez fale.

Oficer, mając uzasadnioną nadzieję, że ląd nie może być daleko, poddał się falom, które pchały go w kierunku wybrzeża, zaskoczony i zrozpaczony, że nie spotyka żadnego ze swoich marynarzy. Czy więc załoga drugiej łodzi padła ofiarą katastrofy aż do ostatniego człowieka?

Gdy oddalił się o około dwieście metrów od skały, na której rozbił się jego statek, rozległ się potężny huk. Deszcz szczątków spadł ze wszystkich stron, ale na szczęście nie dosięgnął ani jego, ani jego towarzyszeki.

„Godaveri” ożył!

Dopiero wtedy kapitan pomyślał o bogactwach, które posiadał: o diamentach przechowywanych w kasetce zamkniętej w sejfie w jego pokoju oraz o wekslach podpisanych przez pana Syntezę. O wszystkim tym całkowicie zapomniał podczas strasznej serii wydarzeń, które miały miejsce w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin!

Diamenty, choć niewielkie, stanowiły prawdziwą fortunę, zresztą zupełnie bezużyteczną w dzikim kraju, ale mogącą zapewnić środki na wszelkie ewentualności, gdyby statek dotarł do lądu zamieszkałego



Ląd, który wydawał się uciekać, podczas gdy siły nieszczęsnego oficera wyczerpywały się, a dziewczyna, nieruchoma, nie dawała już znaku życia.

przez cywilizowanych ludzi. Ale tu chodziło o diamenty, fortunę, cywilizowanych ludzi, a nawet dzikusów! To ład trzeba osiągnąć! Ład, który wydawał się uciekać, podczas gdy siły nieszczęsnego oficera wyczerpywały się, a dziewczyna, nieruchoma, nie dawała już znaku życia.

Pogoda się poprawiła, gwiazdy świeciły na niebie, wiatr coraz bardziej słabł, tylko morze nadal było wzburzone.

Od godziny trwała ta ostateczna walka, a kapitan z przerażeniem zauważył, że jego kończyny zaczynają drętwieć. Obciążony cennym ładunkiem, płynął powoli, czasami miał duże trudności z koordynacją ruchów i posuwał się naprzód tylko dzięki ogromnemu wysiłkowi.

Co by nie dał, żeby znaleźć kawałek rei, drzewca, deskę, cokolwiek, czego mógłby się na chwilę złapać i wyciągnąć swoje skurczone lewe ramię.

– No dalej – mówi do siebie – jeszcze dziesięć minut!

Następnie ogarnął go straszny niepokój na widok nieruchomej towarzyszki. Obawiał się, że trzyma już tylko zwłoki...

Mijały minuty. Narastało zmęczenie... niepokój się potęgował.

– Już nie dam rady! Czy wytrzymam jeszcze pięć minut...? Ach, gdybym był sam...! To straszne, czuć, jak umieramy razem...! Jeszcze...! No dalej...! Trzymaj się...!

Nieszczęśnik nagle zatonął, wynurzył się, wziął głęboki oddech, popłynął jeszcze kilka metrów, ponownie zatonął i wynurzył się na fali, która go uniosła, nie przestając obejmować dziewczyny.

Ogarniał go straszny niepokój tonącego człowieka. Wydawało mu się, że jej włosy są jak rozgrzane w ogniu igły.

Z jego gardła wydobyło się rozdzielające łkanie.

– Czyżbym był przeklęty, skoro nie mogę jej uratować...!

Następnie, chcąc w heroicznym, ostatnim wysiłku przedłużyć choćby o sekundę życie biednego dziecka, uniósł je ponad fale, bełkocząc rozgorączkowane *pożegnanie*...



Rozdział VIII

Wrażenia francuskiego odkrywcy – Dziewicza puszcza w dzień i w nocy – Obozowisko rozbitków – Brat i siostra – Mała siostra prosi tylko o słonia i eskortę – Po utracie „Godaveri” – Na ławicy mułu – Dotarcie do brzegu – Pierwszy posiłek – Ostrygi z namorzynów i korzeń *Arum esculentum* – Niestety i męstwo – Zasoby rozbitków – Piroga na mieliźnie – Kapitan i załoga – Zwodowanie – Zdobycie węgorza – Ostatnie naboje – Ognia! – Metoda zaczerpnięte od Fuegeńczyków – Naprzód!

Najpierw jest to naturalna droga, która wiję się kapryśnie pośród bagien, gdzie obficie rosną trzciny i lotosy. Następnie teren nieznacznie się wznosi. Droga poszerza się, a bagna stopniowo znikają. Po lotosach, trzcinach i wszystkich innych wspaniałych okazach flory wodnej pojawiają się lasy bambusowe o delikatnych zielonych liściach i giętkich łodygach, zebrane w bujne snopy.

Rzeka kapryśnie płynie przez ten niekończący się gaj i kieruje się w stronę wschodzącego słońca, aż do odległych gór, których niebieskawe sylwetki wyłaniają się, prawie niewidoczne, z ciemnej masy zieleni.

Za bambusami pojawiają się gigantyczne drzewa, które wyrastają z potężnym impetem na ogromną wysokość, tworząc kopuły zieleni nieprzeniknione dla promieni słonecznych; u dołu pnie te, z pionowymi przegrodami i wystającymi krawędziami, pochylają się daleko w szerokie podpory; a te zadziwiające wysokie korzenie, rysujące na ziemi kręte linie, długie przegrody, prawdziwe konstrukcje fundamentowe, które przygotowują budowę kolosa; – dookoła te wspaniałe rośliny, *tchombang* o dużych czerwonych, jadalnych kwiatach, *bretam* o ogromnych liściach, duże paprocie – i liany! – zwłaszcza liany, które pojawiają się na wszystkich stronach, pod liśćmi, wdzięczne i straszne liany, te dziwne poziome drzewa, które oplatały inne i pochłaniały je: wspinały się, opadały, zwisały i kołysały się, przechodziły z jednego pnia na drugi, przyjmując najdziwniejsze kształty, płaskie lub okrągłe, gładkie lub szorstkie, zielone, białe lub ciemne, lekkie nitki, szerokie wstążki lub ogromne liny,

tworząc tu miękkie zawieszania, a gdzie indziej sploty gadów, boa duszących swoją ofiarę, proszące o ochronę i wsparcie najdelikatniejsze krzewy, i kończące się oplątaniem w swoich nieprzenikniomych węzłach potężne i silne stuletnie drzewo, które ulegnie ich uściskowi.

Rotangi o szerokich liściach, tak lekko wyciętych, ale tak dobrze uzbrojonych w haczyki na całej długości ich krawędzi, te palmy-liany o długich pnących się łodygach, jak okiem sięgnąć porastają brzegi rzeki. Tworzą tam nieprzeniknione zarośla. Widzi się, jak otaczają drzewa z siłą pożaru; otaczają je, przenikają, liżąc ich zewnętrzne powierzchnie swoimi spiralami, które się wznoszą, podczas gdy ich proste wierzchołki wystają ze wszystkich stron, wznosząc się jak wielkie zielone płomienie...

A jeśli zatrzymamy się na szczegółach tego zielonego świata, nadal zachwyca nas delikatność form i żywe kolory małych roślin, które rozkwitają w stałym cieple tych zacienionych miejsc.

Rośliny rosną na wszystkich wysokościach, jedna na drugiej: kwiaty tworzą wielobarwny dywan, na którym wszystkie odcienie mieszają się i harmonizują; wdzięczne paprocie o cudownym metalicznym niebieskim kolorze, stare drzewa, które znikają pod liściastymi masami pnączy, a z pni i gałęzi wielkich drzew wyrastają wszędzie kępki orchidei¹.

Tak właśnie wyglądała ta cudowna malezyjska przyroda w oczach naszego wybitnego rodaka, Brau de Saint-Pol Liasa, który tak elokwentnie ją opisał w powyższych zdaniach, że autor postanowił je zacytować dosłownie, z całą ich świeżością, intensywnością i szczerością.

Ale jeśli ten realistyczny obraz, wcale nie wyidealizowany pomimo bogactwa kolorów i nieco gwałtownych odcieni, budzi w naszym umyśle uczucie podziwu, niemal zdumienia, to czy nie powinniśmy od razu zadać sobie pytanie: A co z człowiekiem? Gdzie jest

¹ Książka, z której zaczerpnąłem ten wspaniały obraz, nosi tytuł *Përak i Orangs-Sakèys*; jest to opowieść o poruszającej wyprawie badawczej, którą w 1881 roku odbył mój dzielny przyjaciel, pan Brau de Saint-Pol Lias, któremu nasz kraj zawdzięcza pokojowe rozszerzenie wpływów francuskich na Daleki Wschód [przypis autora].

człowiek? Co się z nim dzieje w tym wspaniałym raju? Kim jest pośród tych niesamowitych wspaniałości?

Posłuchajmy jeszcze autora *Podróży na Półwysep Malajski*. Wniknijmy w kontrast między równikową nocą a słonecznym dniem, który spływa strumieniami na dziewiczy las. Następnie sami oceńmy, jaka musi być pozycja nieskończenie małego człowieka, zagubionego w tej ogromnej przestrzeni.

...Pośród wielkich cieni księżyc jasno oświecła tu i ówdzie swoim białym światłem ogromny bukiet orchidei, długi pióropusz bawełny, lianę o olśniewającej bieli zwisającą po obu stronach strumienia i kołyszącą się nad wodą jak wielka huśtawka – albo jest to fragment starego drzewa lub splątane liany, które w tym zimnym świetle przybierają najbardziej fantastyczne kształty – masa delikatnych zwisających liści, które lekko porusza bryza i które przypominają widma. Wydaje się, że porusza się, chwilami chowa się, jakby czał się w cień, a potem pojawia się ponownie, by znów zniknąć.

Świetliki, które powoli przelatują tuż nad powierzchnią wody, wydają się być błyszczącymi oczami dzikich zwierząt: może tygrysa? W takim miejscu nic nie wydaje się bardziej prawdopodobne.

W tej głębokiej ciszy słuch wydaje się nabierać szczególnej wrażliwości i przez całe godziny słuchamy tak różnorodnych dźwięków, z których składa się cisza lasu, próbując zgłębić tajemnice tego wielkiego nocnego życia, które zastąpiło żywienie dnia. Wszystkie gatunki dostarczają mu swój wkład: gady, owady, czworonogi, ptaki, nawiązują się i odpowiadają sobie nawzajem z mniej lub bardziej odległych miejsc. Niektóre głosy są niezwykle wytrwałe i tworzą monotonne i ciągle tło tego koncertu. Jeden z płazów przez całą noc wydaje z siebie cztery nuty jakby fletu, które mógłby zapisać muzyk, podczas gdy inne wydają z siebie coś w rodzaju nieprzerwanego świergotu. Od czasu do czasu duża jaszczurka wydaje z siebie sześć lub siedem wyrazistych sylab swoim chrapliwym głosem. Czasami w oddali słychać coś w rodzaju ludzkiego jęku, wydawanego bardzo cichym głosem, lub też wielki krzyk rozpacz, który przywodzi na myśl jakąś straszną tragedię: to małe małpki. Również siamangi¹,

¹ *Siamang* (*Symphalangus syndactylus*) – gatunek małpy wąskonosej z rodziny gibonów; zamieszkuje lasy równikowe Sumatry i Płw. Malajskiego, do wys. 2800 m n.p.m.;

szczekające małpy, budzą się od czasu do czasu, aby wydać potężne „hou!”. Nagle rozlega się ostry gwizd, jak sygnał bandyty, albo pełny, miedziany dźwięk trąbki. To jedno z najmniejszych lub największych zwierząt, owad gwizdzący lub słoń! Często po dźwięku trąbki następuje głuchy pomruk, który sprawia, że drzewa drżą i trwa jak najniższa nuta wielkich organów, towarzysząc tremolo¹ żałobnej pieśni. To znowu słoń, który okazuje swoje niezadowolenie, zanim się rozgniewa. Jeśli wybuchnie gniewem, jego krzyk jest przerażający. Nie ma nic bardziej poruszającego.

Następnie, ponad tymi odgłosami, od czasu do czasu słysząc w powietrzu coś, co można by nazwać „niebiańskimi głosami” organów, i wydaje się, że widzi się stada białych ptaków, które wzbiągają się w niebo z najwyższych szczytów i drzew.

Jednak księżyc powoli schował się za czarną zasłoną utworzoną przez gigantyczne drzewa. Noc jest ciemna jak w głębi jaskini. Oko nie widzi już nawet niepewnych obrazów, delikatnie oświetlonych bladym uśmiechem królowej nocy, aby odpocząć. Wszędzie panuje nieprzenikniona ciemność, niezgłębiona czerń ślepoty.

Tysiące dźwięków wydobywających się z wilgotnej, nasyconej ciemnością atmosfery są tym bardziej przerażające. Nadmiernie pobudzony słuch próbuje rozróżnić te odgłosy, które mimowolnie wywołują dreszcz nawet u najodważniejszych. Czy to stłumione kroki kota na trawie, tętent gigantycznego owada wśród łodyg, pełzanie gada pod kwiatami?

Ten koszmar przebudzonej, niestety rozumnej istoty, dobiega końca. Bolesne godziny w końcu mijają. Już *beo*² radośnie zapowiada kolejne pojawienie się słońca. Ptaki nocne milczą. Szeroki purpurowy pas rumieni najwyższe szczyty, papugi zaczynają głośno

dł. do 90 cm, rozpiętość ramion ok. 180 cm; uwłosienie miękkie, błyszczące, zwykle czarne.

¹ *Tremolo* (tremolando) – szybkie powtarzanie jednego lub na przemian dwóch dźwięków albo akordów w grze na instrumencie lub w śpiewie, dające efekt wibrowania dźwięku.

² *Beo* – ptak śpiewający, rodzaj dużego czarnego kosa, który doskonale oswaja się i z niezwykłą perfekcją naśladuje ludzki głos [przypis autora].



Blady, z potarganymi włosami i podartym ubraniem,
smutno patrzył na swoją towarzyszkę.

gaworzyć, stada zielonych gołębi odlatują z gwałtownym szumem skrzydeł, mały oddają się chaotycznej gimnastyce wśród lian...

Ale człowiek...!

Nad brzegiem rzeki, okrytej białą mgłą, pod starym drzewem figowym, które rozciągało swoje ogromne gałęzie, stała nieruchomo, w milczeniu, mała grupka składająca się z dwóch osób: kobiety i mężczyzny.

Opierając się o pień figowca, a raczej półleżąc na grubej warstwie liści, z głową opartą na ramieniu, kobieta spokojnie drzemała.

Uzbrojony w gałąź ukształtowaną w prymitywną pikę, mężczyzna czuwał, stojąc przy małym ognisku, z którego unosiła się cienka strużka dymu. Błady, z potarganymi włosami i podartym ubraniem, smutno patrzył na swoją towarzyszkę, której wdzięczna twarz, otoczona gęstymi blond warkoczami, lśniła w świetle przenikającym przez liście baniana¹.

Ona obudziła się, drżąc z chłodu poranka, uśmiechnęła się delikatnie i powiedziała łagodnym tonem:

– Christian, mój bracie, nadal nie śpisz...! Kiedy zamierzasz w końcu odpocząć?

– Czy nie powinienem zaspokajać wszystkich twoich potrzeb, dostarczać ci skromnego pożywienia rozbitka, czuwać nad twoim snem i...

– I upadać ze zmęczenia, prawda?

– Anno, droga siostrze, przesadzasz!

– On mówi, że przesadzam, podczas gdy od pięciu dni i pięciu nocy nie miał ani chwili wytchnienia!

– Zapewniam cię, że nie jestem zmęczony. Nie wyobrażasz sobie, jaką wytrzymałość posiadamy my, marynarze.

– Nie należy jednak nadużywać swojej siły, bo grozi to śmiercią w tym niekończącym się lesie. Czyż nie mamy dużo czasu...?

– Niestety, czasu nam nie brakuje.

– Czy zapasy się wyczerpały...?

¹ *Baniana* – inna nazwa figowca bengalskiego (*Ficus benghalensis*), drzewa rosnącego w Indiach i Pakistanie, wypuszcza wiele pni bocznych, może zająć powierzchnię 2 hektarów i wysokość do 30 metrów, święte drzewo hinduizmu.

– Prawie. Zostało nam około tuzina jaj gołębich, które upiekłem pod popiołem... i nic więcej.

– Ale z tym można jeszcze przeżyć dzień, w najgorszym razie. Żyć głodem, na przykład. A ja mam taki apetyt, odkąd staliśmy się Robinsonami z Malakki...

– Znajdziemy jakieś owoce... może jaszczurkę... żółwia, rybę.

– Cokolwiek zechcesz, mój przyjacielu, twoje menu zawsze będzie mile widziane, pomimo jego niespójności i sposobów kulinarnych, które będą decydowały o jego przygotowaniu.

– Droga siostrzyczko, naprawdę podziwiam twoją wytrwałość, z jaką znosisz te straszne nieszczęścia, przytłaczające zmęczenie i niemal beznadziejną perspektywę naszej sytuacji.

– Ech! Nie mam w tym żadnej zasługi. Nie cierpię wcale, gorączka minęła, spałabym nawet lepiej niż w mojej sypialni, gdybym nie miała straszego strachu przed tymi wszystkimi paskudnymi zwierzętami, które hałasują w nocy. Z czasem przyzwyczaję się do tego.

– A więc nie żałujesz niczego!

– To znaczy, zrozummy się. Gdybym była spokojna o los naszych biednych towarzyszy, gdyby nasze nieszczęścia nie zaczęły się katastrofą na „Indusie”, żałowałabym tylko jednej rzeczy!

– A mianowicie...?

– Pięknego słonia z eskortą, aby wygodnie i bez zmęczenia przemierzyć cały Półwysep Malajski.

– Ach! Proszę mi powiedzieć więcej – przerwał kapitan, śmiejąc się mimo woli z tej nieoczekiwanej refleksji.

– W przeciwnym razie zadowolę się nieszczęsną pirogą, której jest pan zarówno kapitanem, jak i załogą.

– A więc kiedy trzeba będzie iść pieszo, gdy rzeka przestanie być żeglowna...?

– Poda mi pan ramię i będziemy spacerować cały dzień, zbierając tu i ówdzie jagody, jak uczniowie na wakacjach, aż dotrzemy do celu naszej podróży.

– Trzeba przejść cały Półwysep Malakka, zanim dotrzemy do Peraku¹...

¹ *Perak* – w czasie akcji powieści był to obszar pod protektorem brytyjskim (wcześniej sułtanat powstały po rozpadzie Malakki), leżący na zachodzie półwyspu.

- Ten półwysep jest dość szeroki, prawda?
- Około dwustu sześćdziesięciu kilometrów.
- Ale idziemy już od pięciu dni.
- Piętnaście kilometrów dziennie, to daje sześćdziesiąt.
- Zostało więc dwieście...
- Co zajmie nam co najmniej dwa tygodnie dni, jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego.
- Dwa tygodnie... No cóż, niech będą dwa tygodnie.

Czy to z powodu nieświadomości, czy też determinacji, dziewczyna wydawała się ludzić się co do trudności, by nie powiedzieć niemożliwości tej sytuacji.

Prawdą było, że w porównaniu z tragicznymi wydarzeniami, które poprzedziły wyjście na brzeg, sytuacja ta mogła nadal, w pewnym sensie, uchodzić za godną pozazdroszczenia, pomimo przerażających komplikacji, które mogły pojawić się w każdej chwili w tym groźnym regionie.

Pamiętamy ten przejmujący epilog katastrofy statku „Godaveri”. Nieodparty nacisk wody na powietrze zgromadzone pod pokładem spowodował wysadzenie statku w powietrze. Nie pozostało po nim nic. Wszystkie szczątki zostały pochłonięte przez fale. Kapitan Christian płynął w kierunku brzegu, podtrzymując nieprzytomną dziewczynę. Po desperackiej walce z szalejącymi falami, poczuł, że tonie, i instynktownie uniósł biedne dziecko ponad fale.

Co za szczęście! Pod stopami natrafił na twardy grunt, zaledwie dwa sążnie od dna. Nagle odzyskał całą swoją energię, uderzył piętą o dno, wynurzył się na wpół uduszony, usłyszał w niewielkiej odległości dobrze znany szum fal przybrzeżnych, rzucił się do przodu, ponownie zanurzył się, znalazł oparcie między dwiema falami, potknął się, próbując biec, został zalany przez ostatnią falę i z ogromną energią złapał się korzenia, który znalazł pod ręką.

Zanurzony w mule do połowy uda, z wodą sięgającą ramion, nie wiedząc, czy morze będzie nadal podnosić się, pospiesznie podniósł dziewczynę na ten korzeń i przywiązał ją swoim pasem.

Następnie pozostał nieruchomy przez minutę, zarówno po to, aby przezwyciężyć ostatnią słabość, jak i upewnić się co do stanu

przyptywu. Fala była już na najwyższym poziomie. Na razie nie było żadnego zagrożenia. Za siedem lub osiem minut zacznie się odpływ.

Obawiając się, że wpadnie w jakiś wybój, nie ośmielił się zrobić kroku do przodu i postanowił, mimo że sytuacja była okropna, poczekać na pierwsze promienie poranka. Szukał po omacku po prawej i lewej stronie i znalazł inne korzenie, bardzo rozstawione u podstawy, tworzące coś w rodzaju cokołu dla bardzo wysokiego pnia. Po tej szczególnej budowie rozpoznał drzewa namorzynowe¹.

Obawiając się, że zostanie porwany przez dość szybki prąd, który wkrótce powstanie wraz z odpływem, zaparł się o korzenie, przerażony przedłużającą się ciszą swojej towarzyszki, która nadal leżała nieruchomo jak trup.

Woda opadała coraz bardziej. Ledwie wystawała ponad trzydzieści centymetrów ponad warstwę mułu. Umierający z pragnienia oficer nabrał w dłoń trochę tej wody, podniósł ją do ust i wydał okrzyk radości. Choć niezupełnie słodka, miała zaledwie lekki posmak soli.

Przypadek sprawił, że statek rozbił się u ujścia rzeki. Oficer pił długimi łykami prawie letnią wodę, pełną drobinek, która pomimo mdłego smaku wydawała mu się pyszna! Wbrew niewygodnej pozycji, postanowił spróbować ratować nieszczęsną dziewczynę, gdy nagle z ust biednego dziecka wydobyło się bolesne westchnienie.

– Jednak żyje! – zawołał kapitan, oszalały z radości.

Zaczynało świtać. Dostrzegł szerokie ujście rzeki otoczone roślinnością o ciemnoszarych liściach, u podnóża której rozciągał się obszar mułu, po którym biegały małe niebieskie kraby.

Jego przewidywania były więc w pełni uzasadnione.

Chcąc jak najszybciej wydostać się z tej okropnej sytuacji, wspiał się na mangrowiec, którego korzenie tak bardzo mu pomogły, ułamał gałąź, szybko zszedł na dół, chwycił dziewczynę, która nie przestawała jęczeć, poniósł ją, badając muł kijem, i po kwadransie nadludzkich wysiłków w końcu dotarł na stały ląd.

Sam również stracił siły, ledwo trzymał się na nogach i w każdej chwili obawiał się, że upadnie na ziemię.

¹ *Drzewa namorzynowe* (mangrowe) – formacja wiecznie zielonych gęstych lasów, występująca na bagnistych wybrzeżach morskich, w strefie pływów.

– Chcę pić! – wyszeptała jego towarzyska zduszonym głosem.

– Jak to zrobić! – mruknął z rozpaczą marynarz, myśląc, że musi ponownie pokonać mulistą ławicę, aby zdobyć wodę.

Ale to jeszcze nic. Jak ją przynieść? Jego zasmucone spojrzenie zatrzymało się machinalnie na pięknej podstawie *arum*¹, której szaro-biały kwiat ledwo wystawał z zwiniętej w rożek pochwy. W głębi tej pochwy mieniła się i drga krystaliczna ciecz o najbardziej zachęcającym wyglądzie.

– Woda...! oto woda... – krzyknął młody człowiek, przechodząc natychmiast od głębokiego zniechęcenia do najżywszej radości.

Te kilka kropli rosy, pochłoniętych łapczywie przez młodą dziewczynę, przywróciły ją do życia.

– Uratowana...! uratowana przez ciebie – wyszeptała wzruszonym głosem. – A co z innymi?

– Jesteśmy tutaj jedynymi ocalałymi z tej strasznej katastrofy... Mam jednak nadzieję, że udało im się również dotrzeć do wybrzeża, gdzie ich sytuacja będzie przynajmniej mniej niepewna niż nasza.

– Nie mamy żadnych zasobów, prawda?

– Absolutnie żadnych...!

– I jesteśmy przemoczeni do suchej nitki! Na szczęście słońce nas wysuszy.

– Ale trzeba będzie szybko przykryć głowy liśćmi, żeby uniknąć udaru słonecznego.

– Te pierwsze promienie dobrze mi robią... przed chwilą jeszcze drżałam... A teraz...

– A teraz?

– Czy muszę się do tego przyznać...? Umieram z głodu!

– Spróbuję coś dla ciebie znaleźć.

– To będzie trudne, prawda? Wiesz, że nasze życie rozbitków – przynajmniej moje – zapowiada się bardzo ciężko.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby ci je ułatwić.

– Nie wątpię, mój przyjacielu, i wyświadczysz mi wielką przysługę. Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem niezdarą i niedoświadczoną.

¹ *Arum esculentum* – synonimiczna łacińska nazwa kolokazji jadalnej, taro (*Colocasia esculenta*) – gatunku rośliny z rodziny obrazkowatych (*Araceae*).

Dziadek jest bardzo dobry, ale zamiast spełniać wszystkie moje zachcianki rozpieszczonego dziecka, być może rozsądniej byłoby, gdyby wprowadził mnie w tajniki życia. Pomyśl tylko, nie umiem nawet usmażyć steku.

– Och, panno Anno! Smażenie steku to zbyt skomplikowana operacja dla takich rozbitków jak my!

– Po pierwsze, mój drogi wybawco, proszę zrezygnować z tego ceremonialnego zwrotu „panno”. Proszę mnie traktować i kochać tak, jakbym była pańską siostrą. Zasłużyłeś na to, prawda? Więc jesteś moim bratem...

– Tak, panno Anno!

– Znowu! No dobrze, bracie, przyjrzyjmy się naszym zasobom. Ja mam chusteczkę, naszyjnik... naszyjnik... To wszystko. A ty?

– Mam nóż... doskonały nóż z kilkoma ostrzami, to cenny skarb.

– Rzeczywiście cenny – dodała poważnie radosna dziewczyna, u której dobra natura na szczęście znów wzięła górę.

– Plus mój zegarek... zresztą pełen wody morskiej. I mój naładowany rewolwer.

– Do obrony przed dzikimi zwierzętami.

– Ale naboje muszą być zalane, tak jak mój zegarek. I cztery dukaty¹ w kieszeni mojej kamizelki.

– Złoto...! Lepiej byłoby mieć suchary.

– Ale, jak sądzę... spożyjemy śniadanie.

– Mam taką nadzieję. Rozbitkowie zawsze w końcu jedzą śniadanie.

– Proszę pozwolić mi na dziesięć minut nieobecności.

– Chętnie, mój przyjacielu, ale czy mogę pójść z tobą?

– Niemożliwe! – odpowiedział kapitan, dzielnie przedzierając się przez ławicę mułu.

Wkrótce powrócił, promienny, triumfujący, niosąc na ramieniu ogromną wiązkę cienkich korzeni namorzynowych, do których przytwierdzone były duże ostrzygi o bardzo nieregularnym kształcie, dobrze znane żeglarzom. Ostrzygi te, żyjące w słonawych wodach, są mdłe i wymagają doprawienia solą, papryką lub cytryną. Bez tych

¹ Szwedzki złoty dukat jest wart 11 franków 66 centymów [przypis autora].

przypraw ich spożywanie jest uciążliwe. Ale też, jaka jest lepsza przyprawa, niż głód!

Oboje rozbitkowie, schronieni pod kępą bambusa, dzielili się bratersko tym skromnym posiłkiem, ubolewając niestety nad brakiem jakichkolwiek korzeni jadalnych, bananów lub owoców chlebowca¹.

Nagle kapitan zauważył, że *arum*, w którego pochwie znajdowała się tak smaczna rosa, jaką delektowała się jego towarzyszka, wyglądała jak roślina, którą chętnie jedzą Hindusi. Przeszukał dno łodygi nożem, odkrył duży bulwiasty korzeń, wyciągnął go z ziemi, oczyścił, odłamał kawałek i z przyjemnością go schrupał.

– Znam to, to *Colocasia*... Kiedyś próbowałem ją w dżungli. Ma posmak rzepy... Proszę... siostrzyczko, też spróbuj.

– Jest bardzo smaczna i naturalnie pasuje do ostryg.

Po tym posiłku, który musiał być bardzo długi, ponieważ każdą ostrygę trzeba było ostrożnie otwierać, aby nie złamać noża, oficer dodał:

– Czy czujesz się lepiej?

– Znacznie lepiej i jestem najedzona, przynajmniej na razie. Moja odzież jest prawie sucha i czuję się na siłach, aby iść.

– Zechciej chwilę poczekać. Muszę wrócić do namorzynów podczas odpływu, aby zaopatrzyć się w nowy zapas ostryg i spróbować złapać kilka krabów na nasz obiad. Nasze skromne zapasy, zapewnione do jutra, pozwolą nam podjąć decyzję.

Powiedział to i bezzwłocznie ruszył przez mulistą równinę. Nie zrobił nawet dwudziestu kroków, gdy potknął się, zaplątał i omal nie upadł pośród błotnistej papki. Gdy rozpoznał, na co natrafił, wyrwał mu się radosny okrzyk. Nie zwracając najmniejszej uwagi na świat mięczaków i przyszły obiad, zatrzymał się, napierał, dokonywał gwałtownych wysiłków, ciągnął, pchał, wyrывał, podnosił jakąś bezkształtną rzecz i wołał:

¹ *Chlebowiec* (drzewo chlebowe, *Artocarpus altilis*) – gatunek rośliny z rodziny morwowatych; pochodzi z wysp Moluki i Nowa Gwinea, uprawiany na obszarze Malezji, Polinezji, we wschodniej Afryce, w Brazylii i na Antylach; jego owoce (do 2 kg) i nasiona są jadalne, zawierają sporo tłuszczu; można je spożywać na surowo lub po ugotowaniu, prażeniu, pieczeniu, mogą być także kiszone.

– Hurra...! Właśnie znalazłem coś bezcennego!

Nie zważając na błoto, które brudziło go od stóp do głów, popychał przed sobą przedmiot, który się ślizgał, nabierał kształtu i okazuje się być miniaturową pirogą, długą zaledwie na trzy metry, szeroką na pięćdziesiąt centymetrów i prawdopodobnie od dawna zatopioną.

– Piroga...! Siostrzyczko... To łódź, którą wyciągnę na brzeg i dokładnie wyczyszczę.

– Och...! Co za szczęście! – zawołała dziewczyna z dziecięcą radością i rzuciła się w kierunku oficera.

– Nie zbliżaj się do mnie! Jestem cały brudny jak uszczelniacz na statku...

Nie tracąc ani chwili, opróżnił rękoma łódź pełną mułu, wyszorował ją liśćmi bambusa, powycierał, usunął wszystkie zabrudzenia, stwierdził, że jest całkowicie szczelna, i dodał:

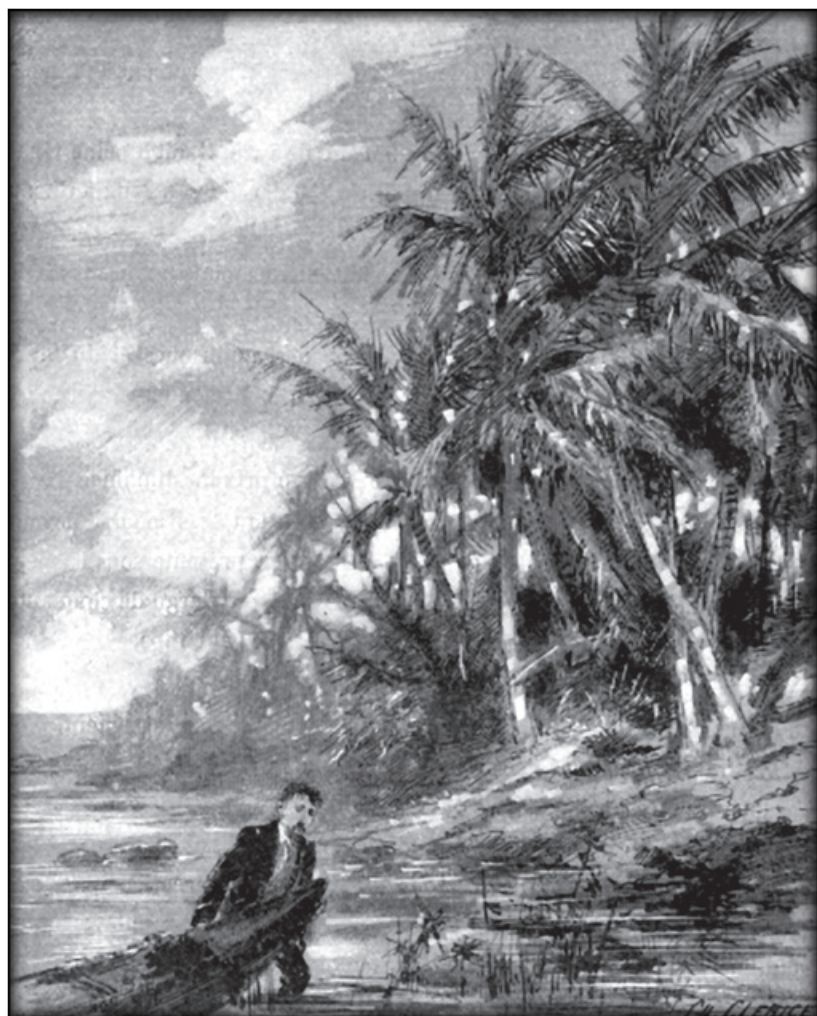
– To pozwoli nam popłynąć w górę rzeki, aż do gór, które tworzą kręgosłup Półwyspu Malajskiego. Teraz muszę zrobić prymitywne wiosło lub parę wiosł, jeśli zdążę, a potem wrócić tam w poszukiwaniu obiadu. Potem skorzystam z przypływu, aby się wykąpać i zmyć tę warstwę mułu, która sprawia, że wyglądam jak amfibia.

Kapitan wykonał zadanie tak dobrze, że po sześciu godzinach wysiłków mógł wypłynąć łodzią i skorzystać z przypływu, aby zabrać swoją towarzyszkę na pokład. Prąd naturalnie niósł łódź w górę od ujścia rzeki, dzięki czemu mogła ona płynąć wzdłuż brzegów dość daleko w głąb lądu.

Zbliżająca się noc przerwała tę niezbyt męczącą podróż, aż do momentu, gdy znów zaczęło się odczuwać odpływ. Kapitan wyciągnął pirogę na brzeg, wypełnił ją liśćmi paproci i przekształcił w rodzaj kołyski dla swojej towarzyszki. Kolacja ponownie składała się z ostryg i korzenia *Colocasia*.

Gdy zapadła noc, dziewczyna wygodnie ułożyła się na miękkim łóżku z liści, a oficer, czujny i oddany strażnik, pełnił wartę aż do wschodu słońca.

Następnego ranka wyruszyli w drogę, oczywiście na czczo, licząc na to, że los zapewni im menu na cały dzień. Los przyszedł



– Hurra...! Właśnie znalazłem coś bezcennego!

im z pomocą w postaci grubego węgorza, którego kapitan ogłuszył uderzeniem wiosła i wyrzucił go na brzeg, jeszcze rzucającego się.

Węgorz jest bardzo smaczny w sosie winnym, tatarskim, a nawet pieczony na węglach. Ale do tego potrzebny jest ogień. Aby zjeść na surowo to twarde, ciężkie i żyłaste mięso, trzeba było dosłownie umierać z głodu.

Ogień! Tubylcy wszystkich krajów uzyskują go poprzez energiczne pocieranie dwóch kawałków drewna. Istnieje jednak metoda nieznana większości Europejczyków, która wymaga ponadto użycia szczególnych gatunków drewna, których nie można znaleźć wszędzie.

Kapitan, bardzo zakłopotany, patrzył melancholijnie na węgorza, który konwulsyjnie rzucał się w trawie ze złamanym kręgosłupem. Nagle uderzył się w czoło, wykonując gest typowy dla człowieka, który wpadł na pewien pomysł.

– Ba! – powiedział, kontynuując na głos rozumowanie rozpoczęte po cichu. – Spróbujmy.

Wyciągnął wtedy ze skórzanej kabury swój rewolwer, zardzewiały od kontaktu z wodą morską, wyjął nabój z bębna, jednym ugryzieniem zębami wyciągnął kulę z miedzianej łuski i wysypał proch na dłoń.

Na szczęście proch był suchy.

– Jesteś bardzo przywiązana do swojej chusteczki, siostrzyczko?

– Oczywiście, tym bardziej, że nie mam innej.

– Proszę jednak oderwać kawałek wielkości dłoni, postrzępić go na bardzo drobne kawałki i wystawić na słońce, aby dobrze wyschły. To do ugotowania węgorza – dodał zachęcającym tonem.

Podczas gdy dziewczyna zajmowała się tym zadaniem, on szukał małych suchych gałązek, preferując gatunki żywiczne, tu i ówdzie pobierał suche trawy, ułożył wszystko w stos w formie małego ogniska, nałożył na nie strzępki włókna z cienkiej tkaniny i posypał je zawartością naboju. Zachował szczyptę prochu, którą włożył do metalowej tulei, aby ułatwić zapłon całości, gdyby, jak nie śmiał mieć nadziei, zapłon zapalił się pod wpływem uderzenia kurka.

Bardziej poruszony, niż wymagało tego wykonanie tak banalnej czynności, załadował rewolwer, położył lufę na środku strzępków tkaniny i nacisnął spust. Dał się słyszeć cichy huk, proch gwałtownie się zapalił, szmaty zadymiły, zwęgliły się i miejscami poczerwieniały. Kapitan rzucił się na brzuch, ostrożnie dmuchał, płakał, kichał, kaszłał pośród dymu wydobywającego się z ogniska i wydał okrzyk płynący jak nie z serca, to przynajmniej z żołądka:

– Siostrzyczko...! Mamy ogień! Zjemy upieczonego węgorza!

Oczywiście zostało to zrobione sumiennie i z największym apetytem.

Oficer pozostał więc z pięcioma nabojami, czyli środkami do rozpalania ognia przez pięć dni, zakładając, że naboje te nie były uszkodzone.

Jeśli byłyby uszkodzone...! nie było ognia!

Kapitan Christian przypomniał sobie wówczas metodę stosowaną przez dzikich z wielu krajów, zwłaszcza Fuegeńczyków¹, do transportowania ognia w swoich pirogach. Metoda ta, bardzo prosta, polegała na zbudowaniu z przodu lub z tyłu łodzi niewielkiej glinianej konstrukcji, która izolowała kadłub od rozżarzonych węgli i chroniła go przed wszelkim niebezpieczeństwem spalenia.

Na wystarczająco grubej płycie glinianej umieszcza się pod popiołem żarzące się powoli węgle, które przez długi czas zachowują swoją temperaturę.

Kapitanowi udało się to znakomicie i z pełnym sukcesem naśladował dzikich. Dziewczyna musiała jednak zrezygnować ze spania w pirodze, która od czasu zmiany przeznaczenia nie nadawała się do przewożenia suchych traw.

W ten sposób płynęli przez pięć dni w górę rzeki, nie spotykając żywej duszy, ani nawet najmniejszych śladów dawnych lub niedawnych osad.

Pomimo niekonsekwentnej diety i ogromnego zmęczenia, jakie towarzyszyło im podczas tych ciężkich dni podróży, ich zdrowie pozostawało w miarę dobre.

¹ Fuegeńczycy – mieszkańcy Ziemi Ognistej (hiszp. – Tierra de Fuego).

Wtedy właśnie odnajdujemy ich w środku lasu, po jednej z tych hałaśliwych nocy, podczas których szaleją wszystkie nocne zwierzęta. Nadal dzielni, mimo że brakowało im wszystkiego, nadal radośni i gotowi do wykonania tego pozornie niemożliwego wyczynu, zwłaszcza dla osiemnastoletniej dziewczyny, jakim była przeprawa z wschodu na zachód Półwyspu Malakka!



Chcesz przeczytać dalszą część?
Zapraszamy do księgarni!